



Maria Okońska

część VI z VI

Sygnatura notacji: **N0052**
Data urodzenia: **16.12.1912 r.**
Data nagrania: **23-25.05.2007 r.**
Miejsce nagrania: **Instytut Prymasowski, Warszawa, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Agata Ziemba, Barbara Pamrow**
Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 22 min, część III: 56 min,**
Format nagrania: **video** **część IV: 44 min, część V: 50 min,**
Język nagrania: **polski** **część VI: 41 min**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Maria Okońska: Jakoś tam się dostałyśmy i tam u tego księdza kanonika. I właśnie poszłyśmy sobie do toalety. Akurat właśnie Lilka, Janka i ja. I słyszymy, że jakieś panie tam przy wejściu do toalety mówią słowo „Laski”. Więc my jak lwice rzuciłyśmy się do tej pani. „Proszę pani, Laski? Pani była w Laskach?” „Tak, ja jestem z Lasek”. Ja naprawdę mało nie zemdlałam. To znaczy, my idziemy do Lasek przecież, na Jasną Górę, ale chciałyśmy zobaczyć, co z naszym ojcem, czy żyje, co z księdzem profesorem Wyszyńskim. Dla nas już Ojcem. Ta pani powiedziała: „Tak, ja wiem”. A ja mówię: „Proszę pani, czy pani widziała księdza profesora Wyszyńskiego w Laskach?”. Ona mówi: „No tam jest dwóch”. Ja mówię: „Taki wysoki, blondyn, niebieskie oczy. Taki dostojny, ma profesorski wygląd”. A drugi jakoś tam, mniej go znamy, jakoś określiłam. A ona mówi: „Tak, ten wysoki blondyn to chyba to jest, proszę pani, ksiądz profesor Wyszyński”. Ja mówię: „Tak”. „To jest, żyje”. Ja mówię: „Idziemy do Lasek”. „Idźcie, on żyje”. Pożegnaliśmy w Grodzisku księdza Grabowskiego i tam inni jeszcze zostali, tam się mieli jakoś rozproszyć, a my trzy, Lilka, Janka i ja, czyli te jakby założycielki „Ósemki”, prawda, ten pierwszy zarząd „Ósemki” i te, które zaczęłyśmy we trzy powstanie, byłyśmy razem, idziemy do Ojca. No trudno sobie wyobrazić to przeżycie. Przecież złożyłyśmy dobrowolnie życie za niego. Przecież trzepnęła w nasz dom „Gruba Berta”, która wykończyła Stalingrad kiedyś. Te pociski „Grubej Berty” wykończyły Stalingrad, a my żyjemy. Idziemy do Ojca. Dopiero wtedy zrozumiłyśmy, jak niesamowicie już kochałyśmy Ojca. Kiedy oddawałyśmy za niego życie, to wiedziałyśmy, że go miłujemy bez granic, ale też wiedziałyśmy, że dlatego ofiarowujemy za niego życie, że on ma jakąś ogromną misję w polskim narodzie. Czuliśmy to wyraźnie. Ojciec ma jakieś ogromne posłannictwo, zapomniałam. I teraz idziemy do niego. To można oszaleć ze szczęścia. Jakoś tam się dodrapałyśmy do tych Lasek, różnymi tam jakimiś, bydlęcy wagon, to tamto, owamto. 13 października o świcie już widzimy Laski, a w Laskach oczywiście, jak już wiedziałyśmy, że żyje nasz Ojciec,

13 października o świcie. To już się po prostu puściliśmy prawie biegiem, Lilka, Janka i ja. I za niedługi czas, bośmy naprawdę prawie biegły, jesteśmy w Laskach. Tego przeżycia nie da się opisać. Jak zobaczyliśmy pierwsze, drzewa niemal w Laskach, ale domki, tośmy się rzucili na kolana i dziękowaliśmy, śpiewaliśmy Magnificat, dziękowaliśmy Bogu i Maryi, że żyjemy, że jesteśmy w Laskach i że za chwilę, jak z całego serca wierzyliśmy, zobaczymy naszego Ojca. To było coś, jak nawet to mówię w tej chwili, to aż mi drży serce. To było tak szalone przeżycie takiej radości. Takich radości się w życiu często nie przeżywa. To był szaf szczęścia. Laski, nasze ukochane Laski, a w nich nasz najdroższy, najukochańszy Ojciec. No puściliśmy się prawie biegiem, już jesteśmy, kaplica Laskowa, drewniana, cudna kaplica Laskowa, wchodzimy do kaplicy Laskowej. Nie pamiętam, która to była godzina, patrzymy, przy ołtarzu ten drugi ksiądz, a gdzie nasz Ojciec? Obracamy się, siedzi w konfesjonale. No tośmy mało nie, ja nie wiem jak one, ale ja mało nie zemdlałam z wrażenia. Nie mogłyśmy przecież pukać do konfesjonatu, to są takie drzwiczki, więc Ojciec nas nie widział. Ale siostry, myśmy widocznie z powodu powstania takim żołnierskim krokiem weszły we trzy do kaplicy, a siostry nas znały, bośmy nieraz przed powstaniem bywały w Laskach, to słyszałyśmy, jak zaszlochały. Na nasz widok zaszlochały. Że żyjemy, że jesteśmy z powstania. No przecież to było widać, takie miałyśmy burki. I za chwilę nasz ojciec odprawia Mszę świętą, drugą mszę, czyli tę właśnie swoją mszę. A przedtem, nie wiem, czy nas widział z tego konfesjonatu, czy jak, a była gromada ludzi, po prostu ludzi Laskowych w czasie mszy, więc może nas zasłonili, Ojciec nas nie widział. A wtedy na „Dominus vobiscum” kapłan się odwracał frontem do ludu, bo teraz jest inaczej. Jak się Ojciec odwrócił i nas zobaczył, to widziałyśmy, chociaż był bardzo opanowany, ale widziałyśmy, że po prostu osłupiał. Tu się nie da powiedzieć, co to znaczy, że osłupiał. No po prostu promień słońca w tej twarzy zobaczyłyśmy, gdy spojrzał na nas, a my też mało nie zwariowałyśmy ze szczęścia. Po mszy już nie wytrzymałyśmy. Po prostu doszłyśmy do Ojca. Mówimy: „Ojcze”, a Ojciec wyciągnął ręce. „Dzieci moje, dzieci moje ukochane”. Wzięłyśmy Ojca za dłonie, całowałyśmy Ojca dłoni, a Ojciec podał nam ręce, we trzy stanęłyśmy, my trzy i Ojciec. I Ojciec szlochał jak dziecko. „Dzieci wróciły, dzieci wróciły”. „Ojcze”, mówiłyśmy, „jesteśmy”. „Jesteśmy. Naprawdę żyjemy. To nie nasze duchy. My naprawdę tu jesteśmy. Ojcze”. A Ojciec tak szlochał, dając słowo, nigdy ojca naszego, na początku księdza profesora Wyszyńskiego, potem biskupa i wreszcie prymasa, nigdy nie widziałyśmy tak płaczącego. Ani przedtem, ani potem. To był taki szloch Ojca, jakiego nigdy w życiu już nie oglądałyśmy. To się łączyło z tym szlochem ogromne szczęście i jakiś ból, który Ojciec przeżył widocznie. Przecież widział palącą się Warszawę. Te dymy się unosiły, płomienie. Moja rodzina, ja jestem z Grochowa, właściwie Grochów, Praga. Czyli tam nie było powstania, tam było Grochów, Praga jeden dzień i koniec. A potem tylko się paliła Warszawa i Warszawa się biła. I potem mi moi bliscy powiedzieli, że patrząc na palącą się Warszawę, w której właśnie było to powstanie, to pękały im serca, że my nie żyjemy. Nasze rodziny myślały: „Przecież one nie mogą żyć. W takich płomieniach”. Tak myśleli ludzie spoza Warszawy. I Ojciec też patrzył z Lasek na płonącą Warszawę i też nie wiedział, ile ludzi zginęło, kto zginął, kto żyje, i powiedział nam tak, w tym powitaniu i po tym szlochu, bo w szlochu nie można mówić, Ojciec szlochał, a potem powiedział tak: „Umówiłem się z Matką Bożą i z mamą Zielińską”, która była takim naszym wielkim przyjacielem, nawet mówiłyśmy do niej „mamo”. „Umówiłem się, że jeżeli nie wrócicie do 7 października”, a tego dnia właśnie, kiedy przyszłyśmy do Ojca, był 7 października, czyli święto Matki Bożej Różańcowej, 7 października do dnia dzisiejszego w Kościele Katolickim jest święto Matki Bożej Różańcowej. I Ojciec powiedział: „Umówiłem się, że jeżeli nie wrócicie do 7 października, to znaczy, że nie żyjecie. I odtąd będziemy się modlić za wasze dusze. A wy jesteście. I dzisiaj jest dzień 7 października”. No to myśmy, wiecie, też zaczęły ryczeć ze szczęścia. Już nie widziałyśmy, co mamy zrobić, jak dziękować Matce Bożej, jak dziękować Bogu. No, już sobie ślubowałyśmy,

że nasze życie oddamy całkowicie Bogu, nawet w wdzięczności za to, że nas uratował z powstania. A na to wszystko, że uratował naszego najdroższego Ojca, którego już kochałyśmy. Ale tak, jak go kochałyśmy w tym spotkaniu po powstaniu, to się nie da powiedzieć. Ojciec szlochał, a myśmy nie wiedziały, co mamy zrobić ze szczęścia. Naprawdę nie wiedziałyśmy. A jeszcze się Ojcu nie rzucałyśmy na szyję, chociaż był naszym ojcem. A dużo, dużo później, później, to kiedyś wam powiem, Ojciec, rzuciliśmy się Ojcu na szyję. I Ojciec powiedział: „Dzieci moje”. Ojciec pozwala rzucać się na szyję. Przecież ja nie miałam ojca, bo zginął, prawda? Przed moim urodzeniem, mój tatuś. Tak że ja nigdy nie widziałam mojego ojca. I dlatego tak strasznie gorąco ukochałam Ojca, tego duchowego ojca, który był dla mnie jedynym ojcem. Bo rodzonego już nie zastałam, kiedy się urodziłam, i potem już nigdy nie wrócił. Zginął pewnie. Albo zginął w niewoli, nie wiem. W każdym razie to spotkanie z Ojcem, jeszcze nie kardynałem, profesorem Wyszyńskim, to było szaleństwo szczęścia. Ojciec powiedział tak: „Teraz umyjecie się, zjecie, co potrzeba, i już zostanieie ze mną. Będę wam prowadził tak zwany nowicjat”, bo myśmy sobie powiedziały, że zaczynamy nowicjat. Ojciec wiedział, że „Ósemka” musi mieć jakiś rok takiego głębszego spokoju i dojrzewania wewnętrznego. „Zostaniecie teraz, a ja wam poprowadzę nowicjat”. A my prawie znów ze szczęścia do łez. Mówimy: „Ojczy, nie możemy zostać na razie”. „Dlaczego?” „Bośmy się umówiły z Matką Bożą, że pójdziemy na Jasną Górę, bo całe nasze powstanie było duchową drogą na Jasną Górę. To do Niej pójść musimy, żeby Jej podziękować. Nawet, Ojczy, za to, że ciebie widzimy żywego i że możemy z tobą już chyba do końca życia być razem. To puścisz nas na Jasną Górę, prawda?” Ojciec powiedział: „Tak, pod jednym warunkiem, że za dwa tygodnie tutaj będziecie z powrotem”. „Dlaczego?” „Bo przyzwoite dziewczęta poza domem są tylko dwa tygodnie”. A Ojciec miał ogromne poczucie humoru i w tych łzach powitania, w tym szczęściu powitania, niesamowitej chwili Ojciec właśnie powiedział: „Dobrze, jak tak ślubowałyście, idźcie na Jasną Górę, błogosławię wam, ale wracajcie najpóźniej za dwa tygodnie”. Ucałowałyśmy Ojca ręce i poszłyśmy na Jasną Górę. 13 października, czy ja nie pomyliłam tych dat? 13 października o świcie stanęłyśmy na Jasnej Górze. To tego nie powiedziałam?

Nie, tego nie.

Maria Okońska: Właśnie, bo to u Ojca był 7 października, Matki Bożej Różańcowej. Na Jasnej Górze stanęłyśmy 13 października. Nareszcie przed obliczem Jasnogórskiej Pani, Królowej Polski, którą już do szaleństwa kochałyśmy. I tak będzie do śmierci. Nigdy nie przestaniemy Jej kochać, choćbyśmy tysiąc lat żyły na świecie. Nasza najdroższa Matka Boża jest jedna, bo w niebie jest jedna, ale ma różne wezwania, prawda? Taka Matka Boża, taka Matka Boża, Jasnogórska Matka Boża, Licheńska Matka Boża itd. Ale Matka Boża Jasnogórska, Królowa Polski, to po Bogu, po Chrystusie nasza największa miłość. Amen. 13 października stanęłyśmy na Jasnej Górze z myślą, że jak się powitamy z Maryją, Królową Polski, Matką Bożą Jasnogórską, to troszkę tutaj jakoś pobędziemy. I potem idziemy do Lasek z powrotem do naszego Ojca. I taki był plan. I tego byłyśmy prawie pewne. Ale Matka Boża chciała inaczej. Powiem to, jakby uprzedzając szczegóły, że ten czas bycia na Jasnej Górze z ewentualnych dwóch tygodni wydłużył się prawie na rok. Kiedy stanęłyśmy na Jasnej Górze, powitanie z Matką Bożą, to jest nie do mówienia, to takie rzeczy chowa się w sercu. Ta, do której szłyśmy przez wszystkie dni powstania, przez ogień, przez wodę, tak się mówi, prawda? Przez ból i przez radość, do Niej szłyśmy na Jasną Górę. I oto jest przed nami. Nie było wtedy takiego oświetlenia Matki Bożej Jasnogórskiej, jakie jest teraz. Przecież teraz są takie możliwości elektryczne, że twarz Matki Bożej jest bardzo oświetlona. Jest niemal w każdym szczególe widoczna. A wtedy tak nie było. Jeszcze nie było takich możli-

wości oświetlenia cudownego obrazu. No i jesteśmy na Jasnej Górze. Modlitwy, ły szczęścia, radości. No to teraz będziemy u Matki Bożej. W każdym razie za dwa tygodnie musimy być w Laskach, bo przecież Ojciec czeka. Byliśmy zachwycone, że jesteśmy u Niej, przed Jej ciemnym obliczem, i szczęście, że wreszcie doszliśmy. Nasze myśli no to były: szereg dni tutaj pobyc, gdzieś się ulokować, gdzieś znaleźć spanie, bo przecież dzień i noc, to może być parę dni, ale nie więcej. Ja sobie przypomniałam, że mój brat Włodzio prowadził Sodalicję Mariańskie i mówił, że na Jasnej Górze jest ojciec Polikarp, imię Polikarp, i że on prowadzi Sodalicję Częstochowskie. No to ja sobie myślę: pójdziemy do tego ojca Polikarpa, przedstawię się jako Marysia Okońska, czyli siostra tego Włodzia, który był prezesem Sodalicji właśnie Chłopców i potem Akademickiej. I chyba ten ojciec Polikarp nam coś tutaj wskaże, że możemy tutaj parę dni, uważajcie, parę dni pobyc. Najwyżej dwa tygodnie. Jakoś tam się ulokowałyśmy, już nawet dokładnie nie pamiętam, jak i co. No i co dzień przez kilka dni u Matki Bożej Jasnogórskiej na Mszy świętej i godzinami klęczenia przed Nią. Można było dojść do ołtarza blisko, wpatrywałyśmy się w Jej oblicze jak zakochane. I któregoś dnia jesteśmy u Matki Bożej Jasnogórskiej, to my trzy, Janka, Lilka i ja, tak patrzę na tę Matkę Bożą, patrzę i raptem jakby mnie ktoś po prostu światłem, błyskawicą światła uderzył w głowę. „Nie wróćcie tak prędko do Lasek. Macie zostać u mnie”. Popatrzyłam na Matkę Bożą. „Matko Boża, to żarty? To Ty do mnie mówisz? Jak to? My tu mamy zostać? W Częstochowie?” Ja nie znosiłam Częstochowy. Częstochowa mi się nie podobała. Tylko kochałam Jasną Górę przez długie lata. „To my, Ty chcesz, Maryjo, żebyśmy tu zostały dłużej? Przecież Ojciec czeka w Laskach”. A Matka Boża... Każda z was, każdy z nas ma jakieś duchowe przeżycia, natchnienia, które nie wiadomo skąd, nikt nie powiedział, głosu nie słyszymy, oczami nie widzimy, a wiemy na pewno, że ta myśl jest prawdziwa.

Czyli od kogo?

Od Boga. Jak ja się dowiedziałam, no od Matki Bożej, wiedziałam, że to od Niej, nie było żadnych innych możliwości, że Matka Boża chce, żebyśmy tutaj zostały, nie wiem, na ile, ale w każdym razie jeszcze długo, to zaczęłam szlochać. Ze szczęścia, że Ona nas chce, i z bólu, że nie wrócimy do Lasek. Dwa uczucia: szczęścia i ból. Ale nade wszystko jedno przeżycie. „Matko Boża, nie zawieziemy Twoich nadziei. Jeśli nas naprawdę chcesz tu na dłużej, to nawet zrobimy ofiarę dla Ciebie, Maryjo, z bycia u naszego Ojca w Laskach, który miał nam poprowadzić nowicjat, nasz ósemkowy, naszej »Ósemki«, tak nam powiedział po tym czułym powitaniu, ale wybieramy jednak Ciebie. Czy Ojciec, czy Ty, Maryjo, po ludzku nasze szczęście być w Laskach, po Bożemu szczęście bycia u Ciebie”. I decyzja. Wyszliśmy, powiedziałam to dziewczętom, że wydaje mi się, że to jest żądanie Matki Bożej, że mamy tu być nie wiem na ile. Gdybym wtedy wiedziała, że to na tak długo, prawie na rok, może bym się zbuntowała, nie wiem. Może bym się zbuntowała. Ale wtedy wiedziałam, że absolutnie nie mogę, nie możemy tego Matce Bożej odmówić i że to jest łaska, że Ona takie byle co, jak na przykład ja, że Ona chce, że Ona mnie chce u siebie widzieć, to przecież można oszaleć ze szczęścia. A że Ojciec będzie czekał, to serce pękało z bólu. Dwa uczucia znów, radości, szczęścia i bólu. Ale Panu Bogu nigdy nie wolno powiedzieć „nie” i Jego Matce. Zawsze, na każdą wolę Bożą, czy jest radosna, czy dla nas po ludzku smutna, zawsze „tak”, zawsze Bogu i Maryi mówimy „tak”. Wobec tego trzeba się obrócić za jakimś mieszkaniem, bo gdzie mam mieszkać, na ulicy? Te parę dni gdzieś tam bywałyśmy, a tu poszliśmy do jakiegoś ośrodka zdrowotnego i powiedzieli: „No to jak coś, to tutaj zostańcie”. I nawet myśmy spały na stołach. No spędzałyśmy na jakimś stole, jedna na jednym, druga na drugim, żeby na drugi dzień iść do Matki Bożej. No to dobrze, a to na kilka dni. Ale przecież na długie może miesiące pobytu to musimy sobie coś znaleźć w Częstochowie. Poszły-

śmy do ojca Polikarpa. Przedstawiłam mu się, to już wcześniej, przedstawiłam mu się, że on zna mojego brata, prezesa sodalicy, mojego brata Włodzia, i że my na Jasnej Górze chcemy być, w Częstochowie chcemy być dłużej czas. „Czy ojciec mógłby nam coś znaleźć, żebyśmy mogli zamieszkać?” Ojciec Polikarp się zadumał i mówi: „No tak, ja prowadzę Sodalicję Częstochowską. Sodalicję żeńskie, bo sodalicy nie są koedukacyjne. Sodalicyja jest albo żeńska, albo męska. A nie ma sodalicy koedukacyjnych. Tak jak inne organizacje mogą być koedukacyjne. Ale sodalicyja nie. „Ja prowadzę sodalicyję żeńską w Częstochowie”, powiedział ojciec Polikarp. „No to się rozejrzę, popytam moje sodaliski, czy zechcą was przyjąć”. Zapytał, ile nas jest. A nas było wtedy trzy, ale miały dojechać te, które zostawiłyśmy w Grodzisku. No to nas z „Ósemki” to wtedy sześć. No a mama Zosi Braunszweig, tata Kaliny Matuszewskiej itd., no to myślałyśmy sobie, że jakoś to się urządzi. Za kilka dni ojciec Polikarp, który wiedział, gdzie my tam się jakoś na parę dni ulokujemy, daje nam znać, żebyśmy natychmiast przyszły. Ja teraz mówię z głowy, nie zrobiłam sobie żadnych punktów. No to idziemy. „No to, proszę ojca, to jak?” On taki ucieszony, taki zadowolony, taki uśmiechnięty. Mówi: „Tak się cieszę, mam dla was odpowiedź. Radosną”. „Jak? Co to będzie?” „Przyjmą was rodziny częstochowskie, rodziny moich sodalisek”, jego sodalisek. „Ale każda rodzina przyjmie jedną”. No my: „Jak? Jedną?”. A nas jest sześć. Ojciec Polikarp na to: „Dzieci kochane, czyście poszalały? No gdzież jakaś rodzina przyjmie was sześć? Rodziny sodalisek, moich sodalisek, przyjmą was po jednej, no może dwie, może jakąś parę, ale raczej po jednej”. No mówimy: „Boże, proszę ojca, my nie możemy się rozstać. My musimy być wszystkie razem”. On popatrzył na nas jak na istne wariatki. Dosłownie zdumiony, oczy wytrzeszczone. Jak ja to mówię, to po prostu same widzicie, że ryczę ze śmiechu. Tak na nas popatrzył, jakbyśmy naprawdę byli jakimiś wariatkami. „Co? To wy sobie wyobrażacie, że jakaś rodzina częstochowska was przyjmie sześć?” „No my nie wiemy, czy nas przyjmie, czy nie, ale my się nie możemy rozstać”. A ojciec Polikarp nic nie wiedział o „Ósemce”. Nic. Nie wiedział, że jesteśmy „Ósemką”, nie wiedział, że nas jest tyle a tyle. Nie wiedział nic o idei naszej „Miasta Dziewcząt”. Właściwie nic o nas nie wiedział. I tak się cieszył, że nam znalazł lokum, porozdzielać po jednej. A myśmy wiedziały, że idziemy do Matki Bożej przez powstanie, przez te pożary, przez te zgłiszczania, idziemy do Niej, ale że już zaczynamy nasz nowicjat w tym roku, nie możemy opóźnić. To znaczy ten okres, no wiecie, co to nowicjat, prawda? Okres przygotowawczy do życia potem już naprawdę całkownie oddanego Bogu. Ojciec Polikarp po tym pierwszym osłupieniu powiedział: „Chyba zwariowałyście”. „Tak, proszę ojca, myśmy zwariowały, ale absolutnie nie pozwolimy się rozdzielić, trudno i darmo, żeby nas nawet chcieli, żeby nas nawet gonili do tych rodzin, nie pójdziemy, nie rozstaniemy się”. On po prostu odszedł obrażony. To on się od kilku dni stara o lokum dla nas, wynalazł to lokum, o rodziny te, ileś tam tych rodzin nas godziło się przyjąć po jednej, a my tu takie szopki robimy. On uważał to za jakąś szopkę. „Czy myśmy zwariowały? Powiedział, „żeście powariowały”. Powiedziałam: „Nie, ale nie damy się rozdzielić”. On się troszkę na nas obraził. Potem się dał przeprosić, jak już byliśmy w Częstochowie. Był dla nas bardzo dobry, ale na początku się na nas obraził. No ale gdzie my będziemy? Zaczęłyśmy szukać lokum na nas sześć. Zaczęłyśmy chodzić po różnych domach, piętra, na piętro któreś tam z powrotem i znów na jakieś tam piętro innego domu. No ale właściwie nie było możliwości, żeby ktoś przyjął sześć, jakaś rodzina żeby przyjęła sześć młodych dziewcząt. Zosia Braunszweig, jedna z tych z naszej gromadki, z tych sześciu, mówi tak: „Wiecie co, chodźmy do ubogich, do biednych ludzi i do biednych domków, a nie szukajmy w eleganckich kamienicach”, bo raczej tak raczej chodziłyśmy. Głupio może zrobiłyśmy, po takich dość eleganckich domach, że może gdzieś nas sześć przyjmą. A Zosia Braunszweig powiedziała: „Nie, nie przyjmą nas nigdzie w sześć, już mamy doświadczenie, widzimy, chodźmy do biednych”. No, poszłyśmy, dowiedziałyśmy się, taka biedna dzielnica, to jest ulica Rocha, św. Rocha. No, Zosia mówi: „To chodźmy do domków”, małe

domki na tej ulicy Rocha. Są małe domki. Były wtedy małe domeczki. Zosia mówi: „Tak, będziemy wchodziły do tych domków”. No ja mówię: „Zosiu, jak nas rodziny eleganckie, ludzi takich wykształconych, może nawet eleganckich, wytwornych, jeżeli nas nie chcą przyjąć w sześc, to jak nas przyjmą sześc w jakimś małym domku? To niemożliwe. A my się nie chcemy rozstać”. „No to co my zrobimy?” No nie wiedziałyśmy, co zrobić. Zosia mówi: „Ja wam radzę, pukajmy do tych małych domków”. A sobie myślę: „Ona zwariowała”. Ona ma źle w głowie. Jak ojciec Polikarp powiedział, że myśmy zwariowały, to ja teraz uważam, że Zosia ma źle w głowie. Gdzie nas w takim małym domku przyjmą sześc? Zaczęłyśmy chodzić jednak po tych domkach, no bo nie było innej rady. Do pierwszego nic, do drugiego nic. Jakies tam domki, jeszcze jeden, jeszcze. Ulica św. Rocha. I wreszcie do jednego z tych domków kolejno wchodzimy. Błoto było ogromne, bo to przecież jesień. Błoto. Wchodzimy. Domek, wychodzi jakaś kobieta i my jej mówimy: „Proszę pani”, też miałyśmy trochę źle w głowie, nie? „Proszę pani, czy pani mogłaby nas przyjąć?” „A ile was jest? No to ile was jest?” My jej mówimy. Ona mówi: „Trochę będzie trudno, ale nie mogę wam odmówić”. „My jesteśmy z Powstania Warszawskiego”. A wiecie, że z powstania wszyscy musieli, ci, którzy nie zginęli, te 800 000, wszyscy musieli wyjść i wszyscy się kierowali na południe Polski w większości. No więc już też duża gromada ludzi na pewno doszła do Częstochowy i też pewnie ci Warszawiacy z Powstania Warszawskiego gdzieś się starali o jakieś przyjęcie. Niektórzy pewnie mieli rodziny na południu Polski, mieli przyjaciół, mieli swoich bliskich, no to jakoś się tam lokowali. Więc może nawet ta pani, która do nas wyszła, sobie zdawała sprawę, że powstanie runęło i Warszawiaczy gdzieś szukają lokum. I mówi tak: „Będzie trochę trudno, ale wam nie odmówię”. No to my w szczęście. Rzuciłyśmy się kobiecie na szyję. Całowałyśmy ją. „Naprawdę nas pani przyjmie?” „Tak, przyjmę was. Ale wiecie co, jest jeden feler. Ja z mężem mamy dwa pokoiki”. Jeden jest po jednej stronie, maleńki korytarzyk, potem zobaczyłyśmy, to jest korytarzyk tak jak twoja walizka. Malucieństwo. I drugi pokój po drugiej stronie. I ona mówi tak: „Właśnie ja z mężem, mam pokój tutaj po lewej stronie, a po prawej bym wam dała. Ale widzicie, ja tam mam świnki”. Ja jestem estetką, aż zadrżałam. Boże, pomyślałam sobie: będziemy mieszkały w pokoju po świnkach. Nie powiedziałam tego głośno, ale mówię: „Proszę pani, to jak to będzie z tymi świnkami, a co pani z nimi zrobi?”. Ona mówi: „Ja sobie dam radę, ja te świnki sobie gdzieś tutaj ulokuję, mam możliwości, a wam daję ten pokój. Chcecie go zobaczyć?”. Mówimy: „No dobrze”. Otworzyła drzwi. Świnki. Ja po prostu mało nie zawyłam. Zapach, okropny, nie okropny, bo małe świnki są prześlizne, ale to były duże świny. Mówię: „Proszę pani, to co?”. Ona mówi: „Wygonię świnki, umieszczę je gdzie indziej, a wam daję ten pokój. I wam najpierw ten pokój wymaluję”. Tak te parę dni to już ja nawet nie bardzo pamiętam, w każdym razie co dzień gdzieś tam nocowałyśmy, gdzieś tam w jakimś ośrodku zdrowotnym, w jakimś tam innym lokalu, ale po prostu byłyśmy bezdomne, dokąd nie minęło tych kilka dni, które ona określiła, że te świnki usunie, że ona pokój wybieli, nie wybieli, tylko właśnie... Jak to powiedzieć. Nie wybieli, tylko no po prostu pomaluje. W oznaczonym dniu zgłaszamy się. Ta pani nazywa się, ona miała nazwisko Cielas. To byli państwo Cielasowie. Mąż i żona, bezdzietni, nazywali się Cielasowie. No przedobrzy ludzie. No wiecie, wszyscy nas odrzucili, oni nas przyjęli. Zgłaszamy się w odpowiednim dniu, ona taka dumna, szczęśliwa, otwiera drzwi tego pokoju dla nas przeznaczonego. My widzimy rzeczywiście takie śliczne, kolorowe ściany, ona mówi: „Podobają się nam?” To ja mówię: „Cudowne”, ale pomyślałam sobie: „Boże, tu jest zapach po świnkach, ja chyba tego nie wytrzymam”. Bo wiecie, tak trochę człowiek jest taki zepsuty, nie? Lubi ładne zapachy. W każdym razie nie po świnkach. A tutaj przecież kobieta zrobiła, co mogła, najpiękniej, jak umiała. Więc się pohamowałam, pomyślałam sobie: „Uspokój się, cicho siedź, moje ja, cicho siedź we mnie, moje ja”. No więc rzuciłyśmy się w objęcia pani Cielasowej. Uściskałyśmy ją, widząc tę dobrą kobietę, jej buzię i to, cośmy zobaczyły, malowała, świnki usunęła, zrobiła dla nas, zupełnie obcych

istot. Ludzie z inteligencji, nie? No tacy bliżsi wykształceniem nam. No i my też, nikt nas nie przyjął, ona nas przyjęła. To było tak wzruszające, że nawet jak to mówię, to mi się serce wzrusza z tej dobroci pani Cielasowej. Musiała z mężem to omówić, mąż się oczywiście zgodził i sprowadzamy się do pani Cielasowej. Niewiele miałyśmy gratów, bo tam coś z Powstania Warszawskiego uratowane. I okazało się, że niedaleko tego domku państwa Cielasów, po drugiej stronie, jest cmentarz. Cmentarz, na którym nawet obecnie, w obecnej chwili, kiedy ja to mówię, chowani są ojcowie niektórzy paulini. Tam są piękne groby, ale tak cmentarz. Ale i to przewyciężyłam. Przecież nie będą nas straszyć. Wierzę w duchy, ale nie będą nas straszyć. Zgodziłyśmy się na wszystko. Nie na Jasnej Górze, nie w eleganckich domach częstochowskich, tylko na ulicy Rocha, w ubogim domku państwa Cielasów, niedaleko cmentarza, tutaj spędzimy tyle czasu, ile Matka Boża od nas zechce. Do Lasek nie wracamy, nie wracamy, serce nam na tę myśl pękało, ale i to przewyciężyłyśmy. A jednak Matka Boża, do której szłyśmy przez powstanie, przez gruzy, przez cierpienia, przez radości, Ona nas chciała, Ona nas zaprosiła i dziękujemy za każdy przejaw miłości Bożej i ludzkiej dla nas. Właśnie tu w Częstochowie, w tym domu państwa Cielasów. No i tam mieszkaliśmy, dziewczynki. Tam mieszkaliśmy aż do Bożego Narodzenia. To był październik, listopad, grudzień. Tak, no tak. Do wejścia „zwycięskiej”, w cudzysłowie mówię, armii sowieckiej.